

Składka

Internetowy magazyn literacki

proza / poezja / esej

Józefina Arodor

Michalina Rega

David Chmielewski

Marcin Solwin

Bartosz Danilewicz

Sabina Sikorska

Bogna Goślińska

Weronika Stępkowska

Magdalena Hirsch

Łukasz Szmaja

Izabela Powłok

Joanna Witczak

Paula Polak

Anna Ziębińska

Grafika: Aleksandra Klóska

(10) 2023

ilustracje

aleksandra klóska

Internetowy Magazyn Literacki *Składka*

Wybór i redakcja tekstów: *Krystian Furga*
 Klaudia Kołodziejczyk

Korekta: *Krystian Furga*

Skład: *Klaudia Kołodziejczyk*

Projekt okładki: *Klaudia Kołodziejczyk*
 Marcin Salwin

Grafika na okładce: *Aleksandra Klóska*

Spis treści:

04	Anna Ziębińska (Gościni numeru)
06	Weronika Stępkowska
09	Izabela Pawlak
15	Marcin Salwin
20	Michalina Rega
21	Łukasz Szmaja
27	Magdalena Hirsch
29	Joanna Witczak
30	Józefina Arodaz
35	Paula Polak
36	Daria Chmielewska
37	Bogna Goślińska
40	Bartosz Danisiewicz
42	Sabina Sikorska



Anna Ziębińska (Gościu numeru)

co by było gdybyśmy spotkały się ponownie

Zbliżałam się do niej mimowolnie. Tak jakby mój ciężar nie pozwalał mi zmierzać w jakimkolwiek innym kierunku. Byłam wrzucona w nieznane. A moje ciało stawało się coraz mniejsze, im większej prędkości nabierałam. To nie mogło się skończyć dobrze. Jestem chyba dla niej zbyt wątpa, zbyt delikatna, byśmy mogły współistnieć.

P L A S K.

Rozłożyłam się na niej jak na łóżku, po całym dniu wyczerpującej roboty, gdy zmęczenie przejmuję każdy centymetr twojego ciała, a ty przez chwilę czujesz, że nie należysz do niczego w tym okrutnym świecie. Rozkładałam się i rozkładałam, coraz bardziej, wydłużając każdy milimetr mojego ciała przynajmniej trzykrotnie. I gdy moja świadomość złączyła się ponownie z fizycznym bytem, mogłam w końcu spojrzeć na nią, po raz pierwszy, wyraźnie. Kim jesteś? Czemu przyjechałaś mnie z otwartymi rękoma? Gdy na nią patrzyłam, czułam, jakbyśmy były zrobione z prawie identycznej materii – na tyle podobnej, by się odróżnić, i na tyle różnej, by móc czasami być jednym i tym samym. Odbijałam się w niej tak dokładnie, że widziałam każdy element składający się na mnie. Widziałam, gdzie się zaczynam i gdzie kończę. Ale im dłużej to trwało, tym wyraźniej mogłam dostrzec mnie w niej, a nią we mnie. Przemnażałyśmy się, na początku tylko dwa czy trzy razy. Patrzyłam cierpliwie na to, ile razy przekładałam się pomiędzy nią. Za każdym razem liczba mnożyła się do kwadratu – dziewięć, osiemdziesiąt jeden, sześć tysięcy pięćset sześćdziesiąt jeden, czterdzieści trzy miliony czterdzieści sześć tysięcy siedemset dwadzieścia jeden. Ale gdy zdołałam się otrząsnąć, byłam tam tylko ja i ona.

Chciałam, żeby kochała mnie tak mocno, że gdybym umarła, jej serce pokruszyłoby się na milion kawałków. Nie odbijałaby niczego oprócz wspomnienia tego dokładnego momentu. Potem oczywiście by się pozbierała, zaczęła zauważać pojedyncze fragmenty rzeczywistości, ale przez jedną krótką chwilę cały jej świat by się załamał. I tak długo, jak wszystko, co odbite będzie istniało, będziemy o sobie pamiętać – o tym, ile lat zajęło nam, by się znaleźć i jak szybko wszystko zdążyło minąć.

Przeszłam z nią tak wiele, zostawiłam mój ślad na całej jej powierzchni, a jej szept wciąż wplata się

pomiędzy moje szczeliny. Przypomina mi ten pierwszy raz:

– Cześć, jestem lusterko.

– Hej, jestem kropla.

Nic więcej nie było nam potrzebne.

A teraz zaczynam spoglądać w dół i widzę już ziemię. I nie ma w niej niczego więcej. Jest taka, jaka jest, nie zmienia się i zawsze mnie przyjmie. Spadam coraz niżej, zmniejszając się z każdym centymetrem, pozostawiając część siebie dla niej, choć ona nie odwdzięcza się tym samym. I tak jedynie maleję i maleję, spowijając jej rany moim ciałem. Im bliżej końca, tym więcej tych pęknięć przede mną. Próbuje je wypełniać jak klej, trzymając wszystkie złączone, ale każdy kolejny raz okazuje się coraz trudniejszy. Jestem tylko kroplą. Wcześniej szłam tak gładko, jak naostrzona łyżwa po zamrzniętym jeziorze. Może to właśnie ja jestem powodem tych ran? Łudziłam się, że prędzej czy później musiałam na nie natrafić, ale może ich wcześniej wcale nie było? Ale kto potrafi przewidzieć przyszłość, gdy wciąż chcesz tak kochać i trzymać i gładzić i czuć, że możecie istnieć bardziej, gdy jesteście razem? Nikt kogo dotychczas poznałam.

Już jedną stopą jestem na ziemi i dla ciebie będzie to znaczyło mój koniec, lecz dla mnie – nowy początek.

Weronika Stępkowska

postawiono mnie przed lustrem dokonanym
powiedziano: *to twoja po dobizna*
wyciąg krzesankowy z ciał (nie-)
bieskich świecących cudzym światem
dagerotyp spod ciemnej gwiazdy
camera obscura w której odbija
się czas

Weronika Stępkowska

zwane podążaniem

tłukłam się smutnym wagonem lustra
jak stąd do tamtąd spóźniony pociąg
stłukłam się w lustrze – ja(żń) absolutna
która nie znaczy czemu i po co

w przedziale starym wiekowym nietzsche
staralam zakryć Zabrz mieć zasłonić
nieznośny ciężar przebrzmiałej ciszą
tej przekroczonej już drugiej strony

gdzie mimo tykań wre mimetyka
mimo()śród (s)kręty ponawia wniwecz
wszystko co było wnet się wymyka
wszystko co przyjdzie jest zbyt prawdziwe

Weronika Stępkowska

wywiad z poetką

pytam panią o wpływy

miesięczne okresu

dewaluacji. o odchylenie

głowy do tyłu od normy

(cokolwiek

to znaczy, ja pani to

wetknę). dlaczego pani

krwawi, kiedy stoi na krawędzi

lustra?

Weronika Stępkowska – wyznawczyni reguły „3 F” (feminizm, filozofia, feline phantasies), praktykująca gorliwie różne rodzaje rozszczepień – od tych między ciałem a umysłem, przez rozszczepienia języka obcego, jakim stała się dla niej polszczyzna, po romantyczne roz(s)czepienia. Chciałaby kiedyś napisać pracę o formach przejawiania się Białoszewskiego „siulpetu”. Tymczasem pisze (i czasami publikuje) zupełnie inne rzeczy: a to wiersze (można je znaleźć w takim piśmie jak: „Arterie”, „Wyspa”, „Gazeta Musi Się Ukazać”, „Drobiazgi”, „Szorty”, „Nowa Orgia Myśli”, „Babiniec Literacki” oraz w kilku różnych antologiach), a to recenzje bądź eseje (w „Arteriach”, „Śląskiej Strefie Gender” i na stronie fejsbukowej „Weronicowanie Poezji”).

Izabela Pawlak

Zbieractwo

mam w sobie niewypłakane zimy
to te ich sople kłują mnie po oczach

tylko babiego lata jakoś nie zmieściłam
nie znam takiej siły
co pajęczynę zerwałaby z poddasza

były sobie takie jeziora pośród pól
na kość zmarznięte tępym lodem
na dnie im spały wije i żaby
pamiętam ich taflę – lustro nieokrzeseane
tylko ciemności byłoby w nim do twarzy

mam w sobie dzikie lodowiska o wąskich promieniach
więcej tu obdartych kolan niż lawiny śmiechu
a i przeręble się zdarzają- dziury do jądra
gdzie wypadałoby oślepnąć – by się przejrzeć
bo to dom ślepych wijów i niedowidzących żab
– nawet królik omija takie dziury
(cwaniak udaje, że śpi całą zimę)

i może dlatego
drzemiemy snem sprawiedliwego na odbiciach wielu
z babim latem na ustach
z kokonem na językach
z odwilżą lustra rozbitego

gdzieś tam

Izabela Pawlak

Lustro odpowiedź zna, gdzie jest to drugie JA

(Najpierw przestrzegano przed odbiciem)

Babcia gniewała się, kiedy zaglądaliśmy do studni. W parne dni w środku lata kazała nam omijać szerokim łukiem betonowy lej i nie-daj-Boże pochylać się nad nim. Powtarzała, że tam mieszka topielec, każda studnia ma takiego w sobie, a są one mściwe i samotne, dlatego wciągają dzieci do środka. I tak tam zaglądaliśmy na sekundę, może dwie, woda była atramentowo czarna, a odbicie dziwnie oleiste, falowało w nim niebo niepodobne do tego nad głową.

Wtedy studnia wydawała nam się głęboka i myśleliśmy sobie, że cokolwiek żyje pod lustrem wody, ma do nas za daleko – słońce zbyt jaskrawo świeci mu po oczach, by nas dostrzec, a po mchu, co porasta studnię od środka, jego zgrabiałe palce się nie wespną.

Tak więc żaden dzieciak na podwórku babci nie słuchał, a ta darła się na nas i przeganiała ścierką w każdy z letnich, parnych dni.

Czasem wrzucaliśmy kamyki jak rzutki do betonowego leja i po latach myślę, że jeden z nich musiał pacnąć topielca w głowę i obudzić ze zmurszałego snu. Bo któregoś dnia, gdy bawiliśmy się w chowanego, a babcia spała (narzekała, że bolą ją kamienie na nerkach), mój kuzyn wpadł do studni. Stał koło niej i nagle BAM! przebił lustro atramentowej wody i przysiadł na czarnym, zimnym dnie. Potem, gdy go wyciągnęli wiaderkiem na powierzchnię (jak głupiutką Alicję na drugą stronę lustra), wysuszyli z grubsza podziemną wodę z włosów i oczywiście okrzyczeli na pół wsi za głupie zabawy: *kark-bys-sobie-skręcił-niech-no-tylko-ojciec-się-dowie-jak-wróci-zza-granicy*. Dopiero po tych wszystkich rytuałach my usiedliśmy w ciszy koło niego.

Jak zapytać o topielca? Czy go widział? Czy go oprowadzał po omszałym domu i ugaszczał w pokrytych glonami cięciwach?

Kuzyn był blady, opity ciemną wodą, ale brązowe oczy nic nie wyblakły. W końcu nam powiedział, że nie, nie uderzył się w głowę podczas upadku i nie, nie ma żadnego topielca.

(Potem ociągają się z czerpaniem)

Na swoim podwórku też mają studnię, jej wodą poją zwierzęta i podlewają grządki. Pamięta niechęć, jaką budziło w niej własne odbicie na dnie studni: tej bladej twarzy i nieobecnych oczu, lśniących popielatym światłem. Lustrzana *ja* nie wyrażała nic, stawiała się absolutem, co umościł się wygodnie w mroku studni. Dla dziecka było to niepojęte, że taka wersja jej samej może istnieć: falować tak giętko pod powierzchnią wody, trwać tak niezachwianie, a równocześnie nie istnieć, bo wystarczy okruszyna, by obraz pękł – zatrzęsł się od kręgów tworzących się na jego powierzchni, może nawet i dziewięciu.

Kilkanaście lat później znowu tu jest i widzi drżący na wodzie obraz. Szuka uparcie czegoś w swoim odbiciu. I dzięki Bogu, że oczy przyzwyczajają się do ciemności. Wystarczy poczekać, by przyjrzeć się powidokom tego *jestem*, które nie miało szansy się wykluć i mgnienie tego *jestem*, o którym się myśli w bezsenne noce.

Sama też potrafi wskazać miejsce w swoim ciele, w którym znajduje się jej własna studnia – zaraz pod mostkiem, między trzecim a czwartym żebrzem. Wspomina imiona każdego z jej topielców zlepionych z mułu, widzi ich drobne ciała zimujące jak żaby na dnie, gdzie ciepło i wilgotno. Nawet za nią nie tęsknią, sen mają głęboki, a oddech spokojny, miarowy jak tętnienie jej krwi. Żaden nie chce być budzony. Powinna ich zostawić w spokoju.

(Na koniec wątpią, czy komukolwiek zależy na powrotach)

Osuszyliśmy studnię.

Wróciłam na weekend do domu rodzinnego pomóc przy robocie, bo studnia miała już nie nadawać się do użytku. Stoimy z rodzeństwem obok niej i słuchamy cichego mrużenia pompy, co siłą wydziera wodę z podziemnego leja. To dziwne uczucie stać tak swobodnie przy krawędzi, bez konsekwencji palić

papierosa i zerkać na dno (bo nie ma już nikogo, kto by mnie przeganiał). Może to dlatego, że wodne demony nie potrzebują takiej baby jak ja- z własnym zdaniem na wszystko i pijącą kawę z mlekiem owsianym. Niczego już by mnie nie nauczyli, a ja też pewnie nie zrozumiałabym ich bulgoczącej mowy, skoro ledwo dogaduję się z Anglikami.

Poza tym nic tam nie ma. Pan Mirek z sąsiedniej wsi, którego matka wynajęła do roboty, mówi, że dno będzie czyścił ze dwa dni (bo szlamu trochę), tego piasku sam dźwigać nie będzie (bo korzonki) i młodzież niech się przygotowuje. No i cementu kilka worków można zamówić. Nie pozwolono mi zejść drabiną na dno (bo i tak tam ciasno), ale widziałam, co wyjeżdża w wiadrach na górę: szary, niemal perłowy piasek, zardzewiałe kapsle po Buskowiance, szkiełka i kawałki muru porośniętego mchem i glonami.

I myślę sobie, odbierając te wiadra z wyciągu, że jeśli ktokolwiek tam mieszkał, musiał się już dawno wyprowadzić.

Gdzie on poszedł? Gdzie byłoby mu lepiej? Może wziął te uplecione z glonów miski i tapczan, wstał nad ranem i wygramolił się z naszego leja, drepcząc z chlupotem w stronę lasu. Las się rozrasta, bo nikt nie jest już zainteresowany uprawą pól, my też. Może wrócił tam, gdzie bobry stawiają tamy, a sąsiadka im je rozbija, albo na te gliniane mokradła, gdzie wszystko się żółci i lepi do siebie? Gdzie nad głową ma nieśmiałość koron drzew – pod mokrymi nogawkami ściółkę, a w niej rozkładającą się materię. I wiecznie młodą ciemność mruczącą w roju owadów.

Pan Mirek uwijał się przez kilka parnych dni. Oczyszczył dno ze szlamu i wszelkich nieczystości, wybrał warstwę piasku i wypełnił je przemytym żwirem, wyszorował cembrowinę oraz zabetonował ubytki i szpary. Mieszkanie prosto od dewelopera, w dodatku bez wkładu własnego i rat na całe życie. Jakiś wodnik mógłby to od nas wynająć.

Kiedy pakowałam się do wyjazdu, myślałam, czy wróci. Ja wracałam do domu, nasączona tęsknotą za innym czasem, za tą drugą mną. Nostalgia i złość na wszystko, co nie wychodzi, przyganiała mnie do

rodzinnej wsi, gdzie ukorzeniam się znów w jakiejś wersji *jestem*. Piłam z tej ziemi klasy czwartej sprawczość, pewność siebie i wspomnienia tych wszystkich planów, które jeszcze mogły się spełnić.

Spakowałam bagaż, wyściskałam mamę i zanim wsiadłam do samochodu, rzuciłam tak, by nikt nie widział, kamyk wielkości ziarna grochu. Plusnęło zbyt cicho, by słyszeć, więc wyobrażam sobie, że osiadł na dnie studni, jakby był u siebie. Zagnieżdżył się w mięsistym piasku.

Drzwi zostawione otwarte na oścież, po staropolsku.

Izabela Pawlak - rocznik 1994, urodzona wczesną wiosną, na przełomie pór roku. Mieszka w Krakowie, pochodzi ze świętokrzyskiej wsi i opiekuje się kotką Pandorą (adoptowaną na początku pandemii). Teksty nigdzie wcześniej nie były publikowane, pisze bardziej do szuflady. Można ją znaleźć na Instagramie na koncie @czytadla.pandory.

Marcin Salwin

Tyle, żeby było dobrze.

Do dużego, naściennego lustra przytwierdzone jest drugie – małe, ręczne lustreczko. W głowie, myśląc o tym obiekcie, układ ten nazywałem „przytulaniem pyszczkami”, chociaż lustro swojego własnego pyszczka nigdy nie miało i mieć nie ma jak. Jedyna ewentualność, jaka lustru może się przytrafić to jego pożyczenie – czyli, chcąc nie chcąc, musimy podzielić się swoim własnym. Te dwie tafle, zetknięte ciasno ze sobą, szczelnie zawieszają pomiędzy sobą wszystko to, czego nie widać i nie da się zobaczyć. *Tam i z powrotem*, tytułuje ten obiekt autorka, Hanna Łuczak, i wszystko staje się jasne.

Jest 2015. Kim Addionzo w sekcji tekstów osobistych New York Times publikuje esej „For My Mother, One Last Grand Slam” (ang. *Mojej matce, ostatni Wielki Szlem*) opisujący przygotowania oraz samą uroczystość przemianowania centrum tenisowego w Maryland na cześć jej matki, legendy amerykańskiego tenisa, pięciokrotnej zwyciężczyni turniejów wielkoszlemowych – Pauline Betz Addie. Esejowi towarzyszy ilustracja R Kikuo Johnson. Na przestrzeni dziewięciu okienek naprzemienne przeplatają się figury – tenisistka w skupieniu wyrzuca piłkę i zamachuje się do wyprowadzenia serwisu. Przedstawiona z profilu starsza kobieta na wózku zajmuje swoje miejsce na scenie. Rakieta wisi w powietrzu. Kobieta otwiera usta, by przemówić a rakieta trafia, posyłając serwis. Tłum wiwatuje na asa, który wydarza się poza naszym widzeniem.

Już wtedy Betz Addie męczyła się z postępującą chorobą, która utrudniała jej samodzielne poruszanie się oraz często mowę.

Zmarła 31 maja 2011, cztery lata przed publikacją tekstu.

—

„[Z]awsze ciekawiło nas nie tylko, co autor miał na myśli, ale jakie motywy nim kierowały. [...] [U]twór powstaje po to, by go czytano, chce więc zachęcić do siebie, przekonać, uwieść. [...] Słowa nabierają wagi przez swój związek z rzeczami, teksty zaś — dzięki swojej interpretacji świata”¹ pisze Zdzisław Łapiński w krótkim tekście *Elegia na odejście nowomowy*, otwierającym jeden z archiwalnych już z

¹ Zdzisław Łapiński, *Elegia na odejście nowomowy*, w: „Teksty Drugie” 4, 1990, s. 3.

naszej perspektywy numerów „Tekstów Drugich”. Chociaż Łapiński snuje o motywacji tekstu, to siłą rzeczy pisze też o dialogowaniu.

Wprowadzanie w dialog jest narzędziem służącym nauce mówienia o, wobec i dookoła literatury już od edukacji „średnioszkolnej”. Poprzez budowanie kontekstów, wyszukiwanie adekwatnych dowodów zarówno za przyjętym argumentem, lub też przewrotnie, dla urozmaicenia retoryki – przeciw, uczy się myślenia o literaturze całościowo. Mirosław Bańko na łamach felietonów w Przekroju sprytnie zauważa – słowa się pożyczają, ale na dobrą sprawę nie wiadomo jak i czy w ogóle można je oddać. Właściciela też nie pyta się przeważnie o zdanie. Kontekst podobnie, można, a przez pewien okres edukacji – niestety trzeba, pożyczać. Tu i tu topos taki, tam topos owaki. Jak o miłości to tutaj, jak o ojczyźnie to tam, a o sumieniu to jeszcze ówdzie. Radź sobie, bo masz już narzędzia. Szkoda, że rzadko samoukonstytuowane, ale to przychodzi z czasem i od tego momentu zaczyna się przyjemność. Komparatystyka to jedno z pierwszych wprowadzonych do arsenału młodego człowieka narzędzi metodologicznych. *Baby's first comparative research*, i nie bez przyczyny.

W myśleniu dialogicznym ani najważniejsze, ani specjalnie pociągające jest przekonywanie do powielania oklepanego paradygmatu skojarzeniowego *status quo*. Korzystne jest uwolnienie się z myślenia w kategoriach dobre-złe skojarzenie, na rzecz tego przyjemnie tendencyjnego, autorskiego sposobu łączenia wątków. Takie afirmowanie istnienia podziału na metody zewnętrzne/wewnętrzne pozwala na myślenie o dialogowaniu w kategorii działania *sui generis* – takiego, które pozwala zestawionym sobie tekstom, w szerokim tego słowa rozumieniu, funkcjonować w relacji wobec siebie takiej, żeby było im dobrze.

Relacja ta nie musi być powoływana wedle naukowo uznanego ciągu następstw, a wedle własnego przeczucia. Te niewypowiedane głosy formułują strukturę myśli, a ta, chociaż to nie zawsze przyjemne, ujawnia porządek myślenia. Jestem zwolennikiem względnej dbałości o skojarzenia w praktyce naukowej, ale *oboedientia mater felicitatis* myślenia, na szczęście, nie dotyczy, a zarówno w nauce, jak i myślowym sporcie, można sobie pozwolić na odrobinę fantazji.

„Ja jestem Milion i za miliony kocham i cierpię katusze” pisze Mickiewicz, w czymś, co Józef Milewski na łamach Przeglądu Polskiego nazwie przeblyskiem jego największego geniuszu. W tym momencie – żywiołowej, teatralnie udanej, egotycznej improwizacji Gustaw Konrad jest wszystkim, a mnie nigdy

bohater literacki tak nie wścieka jak wtedy. Ale nabieram wody w usta. Carl Safina, ponad półtora wieku później, pisze: „Zawsze i wszędzie życie i śmierć zależą od samoświadomości i ostrych rozróżnień pomiędzy sobą samym, otoczeniem i innymi. A to wszystko bez lustra”². Dwa warunki istnieją, chociaż nie mają ze sobą za wiele wspólnego. O punktach stykowych nie myślę – trzeba uwierzyć, że znajdziemy je później, bo chociaż w tej jednej chwili może wydawać się to bez sensu, to ufam, że nie jest to bez znaczenia.

Redukcja komunikatu do przekazu stricte słownie intelektualnego to, za Ursulą LeGuin, działanie radykalnie posunięte do destrukcji. Dlatego nie chodzi o uwydatnienie faktu opowiadania o czymś, bo to przecież naturalne – mniej więcej na tym (tak myślę) wygląda rozmowa, lecz o uwydatnienie relacji w głowie, która pewne związku między znaczeniami, raz – katalizuje, dwa – warunkuje. Pojawiają się oczywiście pytania. Gdzie jest ukonstytuowany złoty środek pomiędzy mówieniem za mało, a za dużo. Kiedy autor odpowiada za to, co mówi, a kiedy ja, jako odbiorca, za to, co zrozumiałem. Czy jesteśmy zdolni do konsumowania jedynie mediów powielających nasze wyobrażenia, takich, które utrwalają wiarę? Przykry to los zwierzęcia wpatzonego w swoje odbicie w szybie, niegotowego na cokolwiek co wykracza poza teraz. Nie jest to zaskoczeniem – nikt nie chce być w drużynie, która przegrywa. Niemniej, kiwanie głową w pewnym momencie staje się męczące, a wspólna, ale z osobistych perspektyw, eksploracja tego, co w tej naszej wspólnej kulturze (subiektywnie) najlepsze i (subiektywnie) najgorsze, to dobra zabawa.

—

Chociaż budzi podejrzenia, zwierzę przygląda się odbiciu wnikliwie, czasami rozpoznając, a czasami nie, siebie w odbiciu. Parę lat temu dowiedziałem się, że i koty, i psy w sumie mają raczej nieimponujący wzrok i jakkolwiek to dalej przyziemnie zabawny spektakl, to od tego czasu nabrałem dużej ilości sceptyzmu widząc zwierzątko (to prawdziwe) patrzące w to drugie zwierzątko w lustrze (to odrobinę mniej prawdziwe).

Jestem w pociągu. A w oknie odbija się pies. Pies patrzy na mnie i ja patrzę na psa. Pies jest grzeczny, myślę sobie. Właścicielka nie trzyma go, bo i ten raczej nie pali się do ucieczki. Stoi sobie tam i tak na

² Safina C., *Poza słowami. Co myśla i czują zwierzęta*, Przeł D. Dymińska, Warszawa 2018, s. 380.

siebie patrzymy. W końcu pani bierze go w ręce i delikatnie, odkłada do koszyka. Pies nie oponuje. Zamknięty w kapsule dalej spogląda w stronę szyby.

—

Skojarzyło się, tak się mówi. W dyskursie zaleca się dodać trochę klajstru – poślinić, aby połączyć dwa wątki w jeden. To też właściwy moment na podjęcie sprytniej retorycznie decyzji, żeby nie już mówić, ale to też trzeba wiedzieć jak. Niemniej, mówi się – skojarzyło się, nie wiem czemu. I czasami to prawda, a czasami nie. Ja sam czasem wiem, ale nie powiem — bo się wstydzę, bo wiem za mało, bo nie chce. A czasami (czasami często) nie wiem — tak naprawdę nie wiem. I na to niewidzenie sobie pozwalam. Bo ten pies w kapsule wygląda jak w statku kosmicznym. Oczka ma jak paciorki i wszystko dookoła się w nich odbija. Ciekawe, czy tak wyglądała Łajka patrząc na błękitną ziemię. Susan Stewart w swojej książce o poetyce nonsensu *Nonsense: Aspects of Intertextuality in Folklore and Literature* poprzez szerokie definiowanie intertekstualności dopuszcza właściwie do jej zrównania z dialogicznością samą w sobie, sugerując, że związki między tekstami budują się już na bardzo podstawowym poziomie – poziomie rozmowy.

Dlatego może to dobry moment do podjęcia próby zdefiniowania, nawet jeżeli mimetycznie sensorycznej, własnej perspektywy – i rozróżnienia, kiedy ustawiamy lustro, a kiedy okno.

Albo zupełnie odwrotnie – zrobić sobie wielką przyjemność i nie definiować sobie już nic.

Bibliografia:

Addonizio Kim, *For My Mother, One Last Grand Slam*, New York Times, <https://archive.nytimes.com/opinionator.blogs.nytimes.com/2015/02/19/for-my-mother-one-last-grand-slam/> [dostęp: 03.08.23].

Bańko Mirosław, *Wędrowni muzykanci*, Przekrój, <https://przekroj.pl/artykuly/felietony/wedrowni-muzykanci-miroslaw-banko>, [dostęp: 03.08.23].

Łapiński Zdzisław, *Elegia na odejście nowomowy*, „Teksty Drugie” 4, 1990.

Milewski Józef, „Zadania nowej oświaty”, „Przegląd Polski” tom 151, nr 451, zeszyt VII, Styczeń 1904.

Safina Carl, *Poza słowami. Co myśla i czują zwierzęta*, Przeł D. Dymińska, Warszawa 2018.

Steward Susan, *Nonsense: Aspects of Intertextuality in Folklore and Literature*, Baltimore 1979.

Marcin Salwin – urodzony w 1997 naoczny świadek trudnej relacji praktyki z teorią. Absolwent rysunku na Uniwersytecie Artystycznym w Poznaniu. Zainteresowany głównie zagadnieniami narratologii transmedialnej, dialogowaniem z kategoriami literaturoznawczymi oraz powoływaniem kontekstów popkulturowych. Zajmuje się relacją szeroko pojętego rysunku z poetyką. Z zawodu – dydaktyk, z przyzwyczajenia – nikt specjalny.

Michalina Rega
ruled by Venus

wszystkie z tymi samymi ruchami i dzikimi, nerwowymi spojrzeniami. te same krzywe zęby, te same spuchnięte kostki i ten sam zapach potu. kręcimy się po domu, wszędzie wypadające włosy i ślady bosych stóp na umytej podłodze. w nas ta sama klątwa, z lata na lato coraz większa pustka i wściekłość na pustkę (prowadzimy z nią romans). każdą z nas rządzi wenus (one byki, ja waga). siedzę z nimi i wszystko jest różowe, klątwa dziewczęcości. tata chciał mieć syna. tata chciał mieć syna, a ja siedzę tu z wami i wszystko jest różowe.

jest gorąco i twoja noga przykleiła się do mojej, i będzie boleć, jak ją zdejmiesz. głaszczę twoje wilgotne włosy. patrzę na was i wiem, że jesteście mną. latem wszystkie rozkładamy się w jedność, płataninę kończyn na łóżku.

Łukasz Szmaja
poemat przez lustro

widziałem umysły mojego pokolenia przerażone
histeryczne nagie przemęczone
rozkaszlane tumanione zastraszane
wyprane oświecone
włóczące się przez miasta okien przez doliny drzwi
spływające wyschniętymi podłogami
wypływające na bezkresne sufity
modlące się do żołądków o cienkie jutro
o prąd o wodę o ścianę
o buty o święty obrazek
o pocztówkę z telewizyjnych krain
bez spodni bez koszul bez znaczenia
klik klik
klik klik klik

widziałem jak ignorują pogłoski lekceważą ostrzeżenia
krowie świńskie kurze śledzą oczy
fabrykują pogłoski kartkują instrukcje
z wzorów na dywanach czytają historię
wyratowane z tłumu zapędzone do cel

widziałem jak sprawdzają co minutę czy zgadza się godzina
czy ziarenko piasku nie zacięło mechanizmu
czy jest gdzie uciec?
czy działa winda?
czy nie zniknęły schody?
czy nie aresztowano świata?

widziałem nowe i nowe i nowe i nowe
i retro i retro i nowe retro
i retro nowości i retro klasykę
i klasykę nowości i nowości klasyki
nagie Ewy po tysiąc razy obnażone
i nagich Adamów skutych kajdankami
w imię kofeiny, guarany i tauryny
amen

widziałem jak duchy unoszą się nad ściekami percepcji
Hare Kryszna Hare Online Hare Rama Hare Trans
sunące w karawanach rozpacz przez pustynie wykładzin i parkietów
gubiące się w śnieżycach kurzu
czekające między szkieletami krzeseł z piachem w oczach
póki z fatamorgan nie ułoży się statystyczne samobójstwo –
ich żelazna kolej

zadurzone we wrogach i zadłużone u przyjaciół
zasilające kościoły protestujących konsumentów
a nowe fortuny starych graczy rosły tak czy inaczej
kto nie pracuje ten niech nie je
widmo krąży przerwanej ciąży
dzieci się nudzą deszcz wraca do chmur

widziałem te które wiedzą że po pierwsze szkodzą
śledzące w strudze światła unoszącą się złotą cząsteczkę
ukryte flagi sztuka zdegenerowana
czy ukrywana nicość zbiegała niemota ścian?

a może widmo brudu?
a może prawda zaledwie?
niewielka brzydka prawda?
utonęły w obojętnych oczach żon i mężów
to tatuś ze swoim chłopakiem
a to mamusia ze swoją dziewczyną
to kotek to piesek to ekran
to butelka to ekran to lufka
to ekran to igła to ekran
to ekran to ekran to nic
nie boli to ekran to ekran to ekran

utopione w bursztynie tygodni
żyjące ciężkim wdechem przez miesiące
pik pik pik pik
i na białych łąkach półek rosły niebiańskie z etykiet łąki
i piekłem smród cichy i śmieszny jak krew na umywalce

skręciły karki psom udusiły koty
i leżą toczone przez robaki na przedmieściach
opiekunka zgubiła klucze
opiekunka wyjechała za granicę
opiekunka nie żyje
opiekunce nie zapłacił inny trup

bo śmierci nie zobaczyły i nie usłyszały
i nie zaśpiewały wiecznego odpoczynku
i nie odprowadziły przez wieś
i nie otworzyły czarnych parasoli

i nie rzuciły prochem w proch
na przeciąg kilku sylab kilkunastu głosek
w klątwie rozmów widziałem
jak po oceanach cytoplazmy suną
żaglowce cierpienia
i że przedtem nic nie było
cierpieniem

nagrywane przegrywane odtwarzane
cięte na głowy cięte na pochwy penisy
tu i teraz i tam i nigdy
nici z tkaniny pikseli
ciche niedołączne maszyny wszechobecne rżenie
trzaski piski jęki
rozmyty obraz rozłączyło połączyło
żyłaki migreny

może dzięki temu dostrzegły co należy zrobić a czego robić nie wolno
długie katalogi płaczliwe skargi algorytm
potop cyfr
to może dzięki temu w rojowisku
koszul staników spodni sukienek
zobaczyły siebie nagimi

choć zrozumiały to i tak zniknęły bez kadyszu
bez ostatniego namaszczenia bez słowa
sunące rynnami płytko pod ziemię
a w najdalszą próżnię
w szare bezkrólewie wnuków traumatycznego nazwiska

dopóki pamięci nie zniszczy wielki pożar świata
nie pochłonie otchłan głupoty
albo nie zeżre zwykłe życie dni

doznały oświecenia pod nową władzą nudy
cieszyły się z więzień łóżek i zdjęć
w apatiach diod podtrzymywani przy życiu dla dobra państwa
dom Kaina i mieszkanie Abła
smród spalonego mięsa zepsutego alkoholu
namiętności i natręctwa

które usłyszały ciszę, która była przed nami wszystkimi
i które o ciszy szeptały, która na nas wszystkich zaczeka
z ogromnych ust słuchały uproszczonych lekcji anatomii
i uproszczone lekcje człowieczeństwa czytały z ogromnych oczu

liczyły monety dzwoniły pod nieaktywne numery
niebieskie światło daje znak
wstań i idź
czarne kurtki pałki maski fartuchy
kombinezony hełmy rękawiczki

widziałem protestujące przeciw lewiatanom molochom hamanom dziadom
gusłom wróżbom przesądom przemówieniom
które pobito i wywieziono do państwowych lasów
których pobicie objaśniano niepobitym
jako konieczność wdzięczność bezpieczeństwo
a leniwy brunatny horyzont wsysał szare chmury serc
co szerniały zeschły i spadły

przetrażone przez zimny wiatr zmiany
widziałem remdesiwir tocilizumab deksametazon
i rwące rzeki ibuprofenu ketoprofenu paracetamolu
niszczące delikatne nabrzeża tkanek
i trzęsące się milionowe czerwone widmo Celsjusza
ciche dworce ciemne teatry
podziemny mefedronowy kult techno
widziałem jak Księżyc spadł i potoczył się pod biurko
widziałem różowe słonie czerwone cytryny niebieskie migdały
królową w uścisku ze zbrodniarzem
widziałem kraje których nie ma
wyspy które utonęły

I o nich mam mu opowiadać?

w kryształach łza mętnieje

czarna łza życia

nie oglądaj?

nie czytaj?

nie wychodź?

nie oddychaj?

wszystko będzie dobrze

tylko nie oddychaj

wszystko będzie dobrze

Łukasz Szmaja – urodzony w 1991 roku. Z nieistniejącą już amatorską grupą teatralną wystawiał spektakle w piwnicach. Publikował poezję w nieistniejących już studenckich magazynach literackich. Rysuje. Nie zmarły. Można go znaleźć na Instagramie na koncie @sz.rysunki.

Nie ma żadnych białych królików, a nawet gdyby były – miałyby czerwone oczy i zawroty głowy od eksperymentów, które na nich przeprowadzamy. Nikt cię nie poprowadzi; nie ma już nawet pokus, żeby za kimś pobiec. Stoisz przed wyborem sama jedna, a ten wybór powtarza się w nieskończoność – codziennie na nowo musisz decydować, czy zajrzyć na drugą stronę lustra.

– Mówię panu, najlepsze lustro weneckie, nigdzie pan lepszych nie kupi.

– Czy aby na pewno? Nikt mnie nie zobaczy?

– Niech pan na siebie spojrzy. Kto by chciał pana zobaczyć? Nudy.

Podwieczorek się skończył, herbata wystygła, a dorastanie to mierzenie się z poczuciem winy, które rośnie nie przez ciastka, tylko na widok smutnych starszych ludzi i bezdomnych kotów. Odbijasz się w witrynie, jesteś przezroczysta i wszystko przez ciebie przechodzi, i nic nie zostaje na zawsze – oprócz tych wyrzutów i wstydu, że jesteś człowiekiem, a nadal nie wiesz, co to znaczy.

– Co? Powtórz pani, bo ja nie dosłyszę.

– Mówię, że nie mogę się skupić na rozmowie z panią, bo w tym pleksi odbija się moja twarz i czuję się, jakbym gadała do siebie.

– Nie, nie, mi nie przeszkadza to pleksi, ja po prostu nie dosłyszę, musi pani mówić głośniej.

Mama czytała ci kiedyś baśń o małej królewnie, która lubiła chodzić nad leżące nieopodal zamku jezioro. Zawsze przeglądała się w jego tafli i widziała nie tylko odbicie swojej buzi, ale i drzewa rosnące pniami do góry, chmury zawieszone nisko w powietrzu i ważki, które przemykały jak diabełki. Pewnego dnia powietrze było czyste i lekkie jak witraże. Gdy słońce stanęło w zenicie, królewna za mocno wychyliła się nad powierzchnią jeziora i wpadła do wody. Bardzo ją zdziwiło, że prawie nic się nie zmieniło – drzewa, chmury, ważki i jezioro wyglądały tak samo. Na brzegu

jeziora siedziała dziewczynka w wieku królewny i wpatrywała się w nią, krzywiąc twarz od białego słońca.

W tym momencie zawsze kazałaś mamie przerwać. Nie obchodził cię ciąg dalszy, bo nie wierzyłaś, że granicę lustra można tak łatwo przekroczyć.

– Chwila, przejrzę się tylko. Krzywo pomalowałam usta, patrz.

– Ja nic nie widzę.

– Bo patrzysz na mnie, spójrz w odbicie.

Szłaś kiedyś z młodszym bratem, wracaliście z kina z jakiejś bajki. Było już ciemno i latarnie wzdłuż chodnika świeciły mdłym, żółtym światłem. Wasze cienie ciągnęły się po chodniku, a brata strasznie rozbawiło, że cień jest taki długi i chudy. Młody śmiał się, że ma nogi jak kolumny, stawiał stopy szeroko i wysoko podnosił kolana.

– Dobrze... A miał pan kiedyś tak, że patrzył pan w lustro i wstrząsało to panem? Ta świadomość swojego istnienia, rozbitego na dwa?

– Mam tak za każdym razem.

Śniło ci się, że szłaś po parku i nagle z krzaków dzikiej róży wyskoczył biały królik we fraku. W łapce trzymał zegarek, który zwisał z łańcuszka; królik jęczał, że się spóźnicie. Biegłaś za nim i dyszałaś triumfalnie, bo wszystko było tak, jak powinno być. Skądś spadałaś, zjadałaś ciasteczko, wypijałaś dziwny płyn ze szklanej butelki i w końcu trafiłaś na podwieczorek. Herbata dymiła z imbryczków, pączki pachniały lukrem, było kolorowo i wesoło, a Kapelusznik zaprosił gości do stołu. Zamiast talerzyków leżały na obrusie małe lusterka. Wszyscy pochylili głowy i utonęli w swoich odbiciach.

Magdalena Hirsch - rocznik 2002, studentka Sztuki pisanie na UW. W wolnym czasie prowadzi instagramowy profil z intelektualistycznymi obrazkami, słucha Maanam i odwiedza stołeczne kina studyjne. Publikowała w magazynach „Tlen Literacki” oraz „zakład.magazyn”. Można ją znaleźć na Instagramie na koncie @wawer_intellectuals.

Joanna Witczak

Światło

jak zetrzeć mego ojca
z rysów twarzy
jak wyskubać go
z kącików oczu
z więdnących ust
ulepić nowy kształt nosa
odsączyć z kropli krwi
jego moje brwi tną czoło

widzę twarz oprawcy w lustrze
zlewa się z twarzą mojej matki
z jej oczami pustymi ślepymi
obok nosa skorupka zaschniętej krwi

jak wyryć nowe rysy nowe kształty
przez które fala światła
wleje się w pory

Joanna Witczak (ur. 1994) - mieszka w Poznaniu, ukończyła Media Interaktywne i Widowiska. Autorka kilku sztuk teatralnych dla dzieci, ostatnio próbuje pisać poezję. Miłośniczka kotów. Można znaleźć na Instagramie na koncie @twojastaraniemakolan13.

1

Kooperujący ze słońcem, prostokątny blask latał po kuchni, siadając na drzwiach, szufladach, stole, kubkach, doniczkach i na plecach pochylonej nad palnikiem gazowym Iwony. To Judyta odpowiadała za to naddatkowe, niespokojne światło w pomieszczeniu. Rękę, w której trzymała telefon ze zgaszonym ekranem, ustawiała pod różnymi kątami, łapiąc promienie przeciskające się do ich rozprażonego, kuchennego życia przez okno wychodzące na ruchliwą ulicę. Obserwowała wędrówkę rozedrganego światła i zmagania matki z sobotnim obiadem.

Iwona nastawiła na zupeę, strzeliła pokrywką i odwróciła się do niej. Zły ruch dłoni rozsiewającej plamy światła. Iwona dostała blaskiem po oczach.

– Judyta! – zdenerwowała się. Przysłoniła twarz ścierką, żeby jej nie świeciło. – Judyta, obrałaś te ziemniaki?

– Obrałam. Tyle wystarczy? – Opuściła dłoń, w której trzymała telefon, a drugą przyciągnęła garnek bliżej wzroku matki.

Iwona zajrzała, skinęła głową.

– Może być – oceniła. – Zrobisz jeszcze sałatkę?

Judyta pośpiesznie wstała z krzesła.

– Nie, nie mam już czasu. Mam dużo zadane. – Nie patrzyła na matkę. Wzięła garnek z zalanymi zimną wodą ziemniakami i postawiła go na kuchence gazowej obok gotującej się zupy. Na blacie czekała miska z przetartymi ogórkami kiszonymi i pusty po nich słoik.

– Coś chyba śmierdzi – rzuciła na odchodnym, żeby odwrócić od siebie uwagę. Podziało. Iwona znów pochylała się nad obiadem. Judyta wycofała się do przedpokoju. Stała tam jeszcze przez chwilę i podglądała swoją brzydką, przesiąkniętą zapachem smażenia matkę przez oszklone (faliście, mlecznobiało) drzwi. Szkło deformowało postać Iwony. Była zamazana, rozlana, stłumiona. Jakby ktoś ją oblał całą kozim mlekiem, posypał pszenną mąką.

W Judycie piętrzyła się złość na mamę, że urodziła ją tak późno, że była ostatnim dzieckiem z dużej rodziny, że do czasu jej pojawienia się na świecie rodzicom spowszedniało wychowywanie ludzi na ludzi. Że Iwona o siebie nie dbała, że gdziekolwiek się pojawiała, ciągnął się za nią zapach kuchni, że nie miała dobrze wypadającego w rozmowach hobby, że poświęciła się dla nich, dla tego domu. Do tego stopnia, że dla Judyty zniknęła jako osoba. Zostawały role i funkcje. Nawet ojciec z przyzwyczajenia wołał na Iwonę: *Ej, matka...!* i ona sama mówiła o sobie z pozycji oddalenia: *Nie rób mamie przykrości. Mama już tak ma.*

Judyta czuła, że z rodzeństwa miała najgorzej, bo to do jej czasów matka nie pasowała najdotkliwiej. Wychodziły z niej nijakość i starość. Wyniszczona, zawsze zmęczona, przewidywalna. Matka z kuchnią zamiast ojczyzny. Na obmyślanu posiłków upływały jej doby. Wciąż tam była: coś szykowała, po czymś sprzątała, czegoś była w trakcie, stamtąd się wychylała, witała gości, żegnała. Judyta co jakiś czas wyciągała ten temat i próbowała się z nią skonfrontować. Pytała: *dlaczego, jaki w tym szerszy sens, co u ciebie poza tym?*

Iwona wzruszała ramionami w odpowiedzi.

– Mama już tak ma – mówiła i nie chciała zastanawiać się dalej. I było, jak było.

2

A było tak, że w ich rodzinnym systemie pojawiały się przecież prześwity, przedarcia, dziury po mikrowstrząsach. Judyta zapamiętywała te momenty, zbierała je dla siebie i badała, czy może przyniosły coś nowego, przesunęły układy choć o milimetr, czy przeciwnie – nie zmieniały nic.

Na przykład, ten epizod parę lat temu, gdy Paweł wrócił pierwszy raz z robót w Holandii. Jednak stęskniony, jednak złacony rodziny i rozmów zaczął przesiadywać w kuchni w trakcie krzątania. Nadrabiał codzienność. I chwycił się przy tym: siekania, podawania, mieszania. Zmywania przewalających się po całym mieszkaniu brudnych naczyń, których nie dało się pokonać, bo w ich zlewie zawsze coś zalegało.

Dopiero wtedy, po tym roku za granicą, po rozłące, tyraniu, dystansie i powrocie, Paweł zrozumiał ten zlew. Zrozumiał, że wśród piętrzących się tam garów, do syfonu ściekały nie tylko

makaron z rosółu czy kawałki ziemniaków z koperkiem, ale też sekundy, minuty, godziny życia Iwony. Więc była to pewnie jakaś niedziela, a on zabrał się do zmywania, jakby robił to od zawsze, jakby dom rodzinny nie nauczył go podskórnie innych ustaleń. Utworzyła się scena rodzajowa składająca się z matki gotującej, Pawła pomagającego, Judyty bawiącej się cukiernicą ze srebrną, wypolerowaną klapką. Klapkę to podnosiła, to z krótkim klekotem opuszczała, a fragmenty kuchni odbijały się w cukiernicy zupełnie wyraźnie – jak w małym lusterku – tylko do góry nogami.

Pomiędzy ten obraz wszedł jednak ojciec. Stał w progu, przyglądał się chwilę. Wydawało się, że dostrzega jedynie Pawła. A może tak naprawdę ogarnął wzrokiem wszystkich, ale to syna konkretnie potrzebował z kuchni wymazać?

– Paweł, czego ty się chwytasz babskiej roboty? – powiedział i trudno było im ocenić, czy drażni go to naprawdę, czy sobie żartuje. Paweł spochmurniał.

– Tato, no co ty... – Bardzo chcieli, żeby to był tylko żart.

Babska robota, Judyta stuknęła cukiernicą wpatrzona w postaci i rzeczy odbite w srebrnej klapce, *bab-stuk-ska-stuk*. A mama się śmiała speszona, jakby przyłapana na małym oszukaństwie, którego będzie się od teraz wstydzić. Wycierała ręce w fartuch i śmiała się, bo w takim stylu rozwiązała już niejednen konflikt między nimi a ojcem. Zaraz też zręcznie wymanewrowała Pawła z kąta przy zlewie, wcisnęła mu salaterkę z kruchymi ciastkami i powiedziała, że trzeba to zanieść do salonu, bo spodziewają się gości. Ojca już w drzwiach nie było. Paweł w końcu też wyszedł. Mogła przestać mieszać, odstawiała miskę z ciastem. Odczekała, aż wszystko się uspokoi, a potem zmywała: długo, dokładnie.

Cukiernica dalej klekotała. Judyta sprawdzała językiem wewnętrzną stronę policzków, które pogryzła z nerwów. Cicha, mała Judyś. Nikomu nie mówiła, że chciałaby zamieszkać w srebrnej klapce od starej cukiernicy. Wyobrażała sobie wszystkie rzeczy, które działy się tam na odwrót. Na odwrót, czyli inaczej.

Takie momenty. Drobne jak sól.

Przeliczyła drobne w portfelu. Wystarczy na kawę, więc poszła zadowolona, że nie musi się nikogo o nic prosić. Cieszyła się, bo pierwszy raz za czasów liceum poczuła się szczerze wliczona w plany jakiejś grupy. Dziewczyny były w porządku. Pisały ze sobą przez całe lato. Wysyłały Judycie zdjęcia z wakacji, a teraz miały się spotkać, pogadać, nadrobić. W kawiarni już na nią czekały. Trzymały dla niej krzesło. Miały tyle do opowiedzenia. Usiadła z wdzięcznością. Na zewnątrz upał, ponad trzydzieści stopni.

– O Boże... – Najpierw ten niesmak w głosie Anki, która gwałtownie przerwała swoją relację z podróży po Szkocji. Dziewczyny automatycznie powędrowały za jej wzrokiem. Za szybą przystanęła i oparła się o murek gruba, spocona baba z siatami zakupów. Ciemne plamy gnieździły się pod pachami, na dekolcie, spływały do brzucha. Wilgotne włosy lepiły się do czoła. Pochylona szukała czegoś w torebce. Pewnie chustki.

Padło jeszcze:

– Tragedia.

Dziewczyny kręciły głowami, zahipnotyzowane widokiem, starające się ukryć uśmiechy – zażenowania, może drwiny, może współczucia. Dla nich to była tragedia, a dla Judyty mama.

Miała kilka sekund, żeby zdecydować. Potem stałoby się coś nieubłaganego. Znała to uczucie, ale wcześniej pojawiało się przy niej raczej podczas oglądanych filmów, a nie bezpośrednio jako element jej życia. Głowa pulsowała, a ona nie mogła opędzić się od idiotycznego porównania do Demi Lovato w „Camp Rock”. *This is me*.

– Słuchajcie, pójdę. – Zaczęła się zbierać, szurać krzesłem. Popatrzyły na nią zaskoczone.

– Ale gdzie? Judyta, siadaj jeszcze. – Próbowaly ją chwycić za rękę. Wyrwała się.

– Tam za oknem stoi moja mama. Muszę jej pomóc nieść zakupy do domu. Nie będzie sama taszczyła. – Wyszła. W następnej chwili otoczył ją gęsty, tłusty, asfaltowy upał. Czula, jak jej ciało przejmują żar.

W domu Judyta wpatrzona w szybkę kredensu tłumaczyła niezgrabnie Iwonie, żeby nie nosiła swoich starych t-shirtów z poliestru w takie dni, że ona jej kupi niedługo jakąś ładną, lnianą

koszulkę. Białą, bez rękawów. Potykała się o słowa, robiła uniki. Iwona tarła surowe ziemniaki na placki ziemniaczane, milczała i co jakiś czas wycierała oczy grzbietem dłoni. Judyta obserwowała jej umęczoną twarz w szybce kredensu, bo szkło, jak kadr z filmu, mieściło akurat odbicie sylwetek ich dwóch – matki i córki.

Wstała, położyła dłoń na jej ciepłym ramieniu. Iwona na moment przestała pracować, ręce opadły na dno garnka, znieruchomiały.

– Mamo, już wystarczy.

Józefina Arodaz (ur. 1997) – pisze pod pseudonimem, pracuje w księgowności, mieszka na wsi. Ukończyła studia azjatyckie, spędziła też jakiś czas na krytyce literackiej. Publikowała na łamach Magazynu BIS AGH. Inicjatorka projektów „Płacz nad rozlanym” (2023) oraz „Wielobajka” (2022, 2023). Entuzjastka uczt, dzikich słów, ucieczek i rzeczy szwankujących. Znaleźć ją można na Instagramie na koncie @josefinaarodaz.

Paula Polak

1106

zabity na ścianie komar jest szczegółem

niezależnie od niego światło wiruje po białej powierzchni, ślizga się i przenika jak chwilowa zorza

polarna w mikroskopijnej skali

biała ściana jest jak lustro lubiące cienie, odbija, a ja nie wiem na czym zatrzymać spojrzenie,

dlatego wodzę wzrokiem za migającymi obrazami

Jeśli o mnie chodzi, oficjalnie nie mam imienia. Każdy z moich przyjaciół wymyśla dla mnie własne, a nieznanym przedstawiam się zwykle jako nowostworek. *Creatura nova*. Taka nazwa gatunkowa.

Dosyć niedawno zamieszkałem w całkiem ciepłym i przytulnym, choć ciasnym mieszkaniu. Jeszcze się tu urządzam. Znajduję ulubionym przedmiotom nowe miejsca, krzążam się i przestawiam szklane słoiki w kuchni. Przyjemnie wtedy brzęczą. W tym roztargnieniu czasami stłucze się jeden czy dwa, ale to nic. Nieważne.

Najważniejszym punktem tego domu jest moja szafa. Wypełnia sobą cały duży pokój i muszę mocno wciągać brzuch, żeby przecisnąć się między nią a ścianą. Jest też bardzo piękna, solidnie wykonana, pojemna. Czuję z niej dziwną dumę. Jest w mojej rodzinie od pokoleń.

Nieraz wyciągam *coś* z szafy. *Coś* mieni się jak światło przepuszczone przez kolorowe szkiełka, salon zalewa ciepły zapach waniliowych cukierków. Przechodzą mnie miłe dreszcze.

Czasami *coś* pachnie cierpko, gorzko, smakuje jak popsute pomarańcze, odbija się od otoczenia gardłowymi dźwiękami i zastyga w niewygodnych pozycjach. Wtedy nie umiem się powstrzymać i, choć uwielbiam tę szafę, narzekam na to duszące *coś*, które z niej wydobyłem.

Narzekanie to taka duża kluska, która utknęła w przełyku. Złoszczę się, że umiem go po prostu połknąć.

Innym razem wyciągam *coś* piskliwego, cienkiego, niepokojąco głośnego, co wypełnia cały pokój iskierkami zmartwienia. Jak umyte pośpiesznie pranie, iskierki bezładnie wieszają się na krawędziach moich myśli. Nieprzyjemne dźwięki sprawiają uszom ból.

Bardzo boli, a ja mam dosyć tego wszystkiego. Tak bardzo chciałbym, żeby ktoś poszedł sobie z mojego domu gdzieś bardzo daleko, nie wrócił już nigdy, zatrzaskał drzwi. Chcę kogoś wyprosić. Ktoś musi stąd pilnie odejść, inaczej nigdy nie poczuję się tutaj jak u siebie.

Wyciągam z szafy *coś* delikatnie kłującego w palce. Boli, piecze, jest lekkie. Nie ma prawie żadnego ciężaru. Dochodzę do wniosku, że powinienem natychmiast odejść z mojego domu. Byle szybko, zanim zgasną iskierki.

Wychodzę pośpiesznie, zostawiam w kuchni kolekcję słoików, tłukę jeden czy dwa – na pożegnanie, albo z roztargnienia. Szafę zawsze ciągnę ze sobą.

Wracając, jeśli o nowostworki chodzi, nasze życie naszego gatunku wygląda jak bycie dzieckiem, które właśnie nauczyło się chodzić i od razu zapomina, jak się to robi. Albo jak bycie kijanką z ciągle rosnącymi kończynami. Po prostu istniejemy w wiecznym wzrastaniu, w zadomawianiu się, niedookreślonym miejscu między tym, co obce, a tym co znane.

Nowostworki pęcznieją, rozszerzają się jak mydlana bańka, pękają, i muszą jakoś zaistnieć na nowo. W ten sposób ktoś nas obmyślił, tak już mamy. Opuściłem nieskończoność domów i byłem zupełnie innym stworkiem. A teraz jestem tu, w moim dosyć ciepłym, choć ciasnym mieszkaniu.

Daria Chmielewska – urodziła się w 2001 roku w Olsztynie. Studentka II stopnia filologii angielskiej na Uniwersytecie Warszawskim. Publikowała w "Szajnie" i "Drobiazgach", uczestniczyła w olsztyńskich slamach poetyckich, wyróżniona w IX edycji konkursu O Trzcinę Kortowa. W wolnym czasie pisze pamiętnik.

Bogna Goślińska

Jest we mnie trochę z bliskich ludzi

Lubię odwiedzać tatę w pracy. Dziś pomalowałam usta szminką i wsiadłam na rower. Od mojej ostatniej wizyty trochę się pozmieniało i kontener taty stoi teraz w zupełnie innym miejscu. Błądzą po powstającym osiedlu przez kilka minut, zanim znajduję drogę. Zaczynamy od fusiastej kawy i jego ulubionych drożdżówek, tata mówi, że piekarz jest chyba na urlopie, bo drożdżówka ma wysuszone boki. Za długo w piecu, pewnie to jakiś piekarz na zastępstwie. Trzecia drożdżówka rozkrojona na pół. Zjadam ją i moją ładną szminkę, a do kontenera przychodzą goście w interesach. Jedna osoba wpada po klucze do nowego mieszkania, cieszę się razem z nią. Niektórym tata mówi, że jestem jego córką, inni tylko mogą się domyślać.

Po kawie trochę mnie przycisnęło, więc tata zabiera mnie do jednego z wykończonych mieszkań, gdzie chodzą z kolegą za potrzebą. Łazienka ładna, podświetlana. A kolegi już nie ma, zmienił pracę. Później tata pokazuje mi mieszkania kupione w celu wynajmu. Wnętrza w odpowiednim standardzie, żeby czynsz mógł być wysoki. Jeden blok cały jest zrobiony pod takie inwestycje. Tam to nawet na korytarzu ściany są drewnem obłożone i zdobne czarno-białymi zdjęciami Manhattanu. Ale taty to nie dotyczy, on buduje domy dla ludzi. Po obejrzeniu mieszkań idziemy do przedszkola, bo powstały już dwa na osiedlu. Tata pyta, czy chce zobaczyć dzieci, ale okazuje się, że w południe jest pora leżakowania. Dzieciaczki śpią wszystkie na materacykach.

Wracamy do kontenera i robimy sobie pamiątkowe zdjęcie. On mi, ja jemu i dwa wspólne. Gadamy jeszcze chwilę o mojej przyszłości, oszczędnościach, pracy. Ja pytam go o nadchodzący wyjazd, bo widzę, jaki jest zmęczony rutyną i obowiązkami. Zaraz musi zresztą wracać do pracy. Zbieram się do wyjścia, ale tata otwiera jeszcze swój kalendarz, a ja czytam sentencje wypisane po wewnętrznej stronie okładki. Jedna z nich brzmi: „Życie to wojna i przystanek chwilowy w podróży”, ale inna już: „Działaj i miej nadzieję”.

Odjeżdżam na rowerze i zerkam przez ramię. Tata odprowadza mnie wzrokiem.

Kiedy wyjeżdżam z osiedla, wpadam na wycieczkę dzieci z drugiego przedszkola. Zatrzymuję się przed wąską ścieżką, żeby przepuścić całą gromadkę. Ubrani są w kamizelki i osłonięci daszkami przed lipcowym słońcem. Nie będą nawet pamiętać, kogo trzymali za rączkę na spacerach.

Bartosz Danisiewicz

góry śnieg i bardzo wysokie szczyty

wspiąłem się dziś
na metr osiemdziesiąt cztery
najwyższy znany mi szczyt
widać stąd nawet słońce
dotykałem palcami
nagiej lodowatej piersi

wtedy miałem jeszcze
zamknięte oczy

nie widziałem dnia
spływała ze mnie
długa ciągnąca się zima
w garści miała mnie jeszcze
resztką nocnego nieba

przestałem się dusić
oddech stał się
leśny drzewny świeży
wytyczył mi ścieżkę
wyszedłem z domu
założyłem nawet buty

Bartosz Danisiewicz

lubię go dopóki

on sam nie odkoduje
wszystkich swoich znaków
nie znajdzie powiązań pomiędzy
zmarszczoną brwią
piosenką w knajpie

dopóki nie zobaczę go
na własnej skórze
nie posmakuję go własnym uchem
to minę się z nim spojrzeniem

w ułamek sekundy
weźmie mnie na barana
wyrwie mi włosy
wetrze we mnie
wszystkie znane mu oleje
weźmie mnie pod opiekę
wyleje na język afirmacje

opowie mi o sobie

Bartosz Danisiewicz (ur. 2004) — pisze, czuje, pragnie. Studiuje psychologię i kognitywistykę w ramach Kolegium MISH Uniwersytetu Warszawskiego. Zwycięzca XII edycji konkursu "O Trzcinę Kortowa". Laureat II miejsca w ogólnopolskim konkursie Fundacji Olgi Tokarczuk na mowę noblowską za esej "Okna". Chciałby kiedyś mieszkać w nowojorskiej kamienicy. Płytę Lorde Melodrama odtworzył ponad 500 razy. Pracuje nad swoim książkowym debiutem. Klatkami ze swojego życia dzieli się na Instagramie @bdanisiewicz.

Sabina Sikorska
Późnoletnia odbitka

Sierpień był upalny. Przylepiał grzywki do czoł i zostawiał wilgotne ślady na krzesłach pokrytych skajem.

Ścieżka od domu na dworzec wydawała się spierzchnięta, nabrzmiąta, pełna sosnowych szyszek. Myślałam, że idę sama, ale w szybie przeszklonego dworca odbijała się stojąca za mną siostra bliźniaczka prababci Natalii. Nie wsiadła do pociągu. Została na peronie w fartuchu, chustce na głowie i ze stosem prania w wiklinowym koszu przy bosych stopach. Pomachałam jej energicznie, jakby na znak, że niedługo znów przyjadę. Wrócę.

Gdy odjeżdżałam, ona szła w stronę domu, raniąc stopy o sztywne sosnowe szyszki.

Sabina Sikorska – studentka sztuki pisania na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza, absolwentka ochrony środowiska. Mieszka jeszcze w Poznaniu, chciałaby już gdzie indziej. Pracuje w kameralnej księgarni i działa w fundacji ratującej bezdomne koty. Laureatka wyróżnienia w V Konkursie im. Tymoteusza Karpowicza na recenzję literacką.



Grafiki:

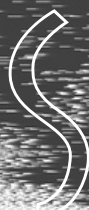
Okładka – Aleksandra Klóska | *@aleksandra_kloska*

str. 3 – Zuzanna Zakrzewska | *@jakas.laska*

str. 43 – Natalia Dziadul | *@na_____tala*



Internetowy magazyn literacki "Składka"
Warszawa 2023



Warszawa 2023